

a cóż dopiero słomiane wdowy? Te po tygodniu, a już patrzą za innymi.

— O! nie moja Natalcia! — zaprzeczył żywo Szabelski, — ja wiem, że będzie tęskniła za mną, i ani jej w głowie zabawy bezemnie.

— I moja Stasia tak samo, — pospieszył Orszycki, — jeszcze wczoraj mówiła, jak jej żal zostawiać mnie samego.

— Ja tam nie wiem, — zaśmiał się Winecki, — czy moja żona będzie za mną tęskniła, ale że za wygodami, za spacerami, za lakotkami, to pewne.

— Mówicie panowie o swoich żonach, — rzekł Merczak poważnie, — pozwólcież i mnie. Moja żona godna i ja, to dwie dusze w dwóch... źle mówię... to jedna dusza w dwóch ciałach, i ona nie zna wesołości żadnej, tylko ze mną.

— No, no, wierzcie mi staremu, — śmiał się Blum, — że słomiane wdowy jeszcze prędzej znajdują amatorów, aniżeli panny i mężatki. Zobaczcie... tylko będzie zapóźno.

— A cóż prezes radzi? — spytał zaniepokojony Orszycki.

— Dojeżdżać... pilnować i nie pozwalać na żadne romansowanie, albo jak teraz głupio mówią: flirty, bo to zaczyna się od gadania, a kończy gdzieindziej, — śmiał się głośno i dwuznacznie.

— Trzeba coś obmyśleć, — powiedział z namysłem Orszycki.

— Tak!... tak! — zawtórował mu Szabelski, — a jak Jasiu myślisz? Ja mam, uważasz, tydzień wolny, a gdyby tak wpaść niespodziewanie do nich?

— Ja mogę tylko na niedzielę i święto, — powiedział Winecki, — i nie wiem, czy się podróż opłaci.

— Panowie! — zawołał uroczysto Merczak, — rozumiem wasze szlachetne troski o los najgodniejszych żon. Mogą zastąpić, uczuć pewne braki, potrzebę pomocy i rady... od czegoż ja tam będę!

— Hm... pan! — zmierzzył go Szabelski oczyma, — nie wiem, czy one będą się liczyły z panem... ale zawsze może pan nam donieść listownie, co robią, jak się bawią.

— Spełnię sumiennie ten obowiązek, — rzekł z powagą, — rozumiem przecież, jaki honor mnie spotkał. Będę stróżem dobrego tonu, a na tem znam się już z mego zawodu.

V.

Zmrok już zapadał i czołgał się z zaułków miejskich na ciasne uliczki, na podwórza obmurowane, wspinał się na schody i zaglądał do mieszkań ludzkich.

O tej porze Romcia, oparta łokciami, patrzyła na podwórze przez otwarte okno. Na małym, zabudowanym podwórku goniły się dzieci z hałasem: na gankach stały służące, rozmawiając głośno; lokatorki z przeciwległej oficyny wróciły ze spaceru i ubrawszy się w domowe spodnice, podlewały wazoniki, wołając służące na różne tony.

To życie kamieniczne wcale nie interesowało Romci, błędziła oczyma po ludziach, nie widząc ich, a odgłosy rozmowy i nawoływań odbijały się o jej uszy, nie budząc uwagi.

Rozmyślała o słowach męża, którego chrypliwy oddech przez sen dolatywał do niej z pokoju sypialnego.

W czasie obiadu, na który spóźnił się mąż z powodu śniadania w mieście, zapowiedział jej z tajemniczą miną:

— Dowiedziałem się o wybornym miejscu na pobyt w lecie. Lasy, góry, kąpiele i zupełna swoboda.

Na jej pytania, gdzie leży ta miejscowość i kiedy można będzie wyjechać, dawał wykrętne odpowiedzi, mimo że był cokolwiek trącony wypitym przy śniadaniu alkoholem.

Romcia, pragnąc się dowiedzieć bliższych szczegółów o leśniku, sama przypiliła do niego kieliszkiem wódki i w przyjemny sposób zachęcała go do wypicia piwa. Gdy upatrywała słowną chwilę, powtórzyła pytanie i tak umię-

tnie nalegała, że on wreszcie powiedział nazwisko miejscowości, wzięwszy od niej słowo, że nikomu nie powie do chwili wyjazdu.

Ta tajemniczość i wymaganie słowa bardzo ją zaniepokoiły i zrodziły złowieszcze przypuszczenia. Kto wie, czy on nie zamierza tam ją osiedlić, oddać pod straż, a może zamknie ją w odludnym domu? Możliwe jest, że dowiedział się od kogoś, może od Marcinowej, że Bachmacki bywa u niej w czasie jego nieobecności, i on, powodowany zazdrością, chce ją ukryć, a może zabić? Przerażona temi przypuszczeniami oświadczyła mu stanowczo, że sama nie pojedzie do Grotowa, na co on, wprawdzie już zmorzony sennością, odpowiedział, jak jej się zdawało, drwiąco:

— Nie bój się, będzie tam ktoś, kogo kochasz.

— Więc i ty jedziesz? — zawołała.

— Ja, nie!... Ktoś, kogo bardziej kochasz.

I po tych słowach usnął.

Opadły ją niespokojne myśli, coraz gorsze przypuszczenia. Poczuciła się do winy wzglę-



Patrzyła na podwórze przez otwarte okno.

dem męża jedynie z powodu Bachmackiego i zrobiła rachunek sumienia: Prawda, że ucałował ją kilka razy, ale zawsze wzbraniała mu i broniła się przed pocałunkami. A zresztą, czy pocałunek, i to wzięty przemocą, jest grzechem? Co do przemocy nasunęły się jej pewne wątpliwości, ale ostatecznie, dobrowolnie nie dała się całować, a więc musiała być przemoc.

Uściski były cokolwiek gorsze od pocałunków, wzbudziły w niej grzeszne myśli, ale czy można grzeszyć wobec męża myślą? Co innego grzeszyć przed Panem Bogiem, który zna najskrytsze myśli, a co innego przed mężem, który, jak słusznie mówi Bachmacki, nawet nie spytał się o jej duszę, a cóż dopiero o myśli.

No, zapewne, gdyby mąż znał jej myśli, zachcenia, fantazje, mógłby być zazdrosny i pragnąć zemsty, ale co on wie? Jedno tylko może wiedzieć, że on bywa.

A może odczytał jego listy? Przybladła ze strachu, były tam bowiem wzmianki o pocałunkach, o schadzkach i wyznania nie przeznaczone dla męża, to też postanowiła spalić wszystkie listy, o co ją prosił gorąco Bachmacki.

Szybko zdjęła z półki pudełko z kapeluszem,

obejrzała się wokoło, i wydobyła z dna pudła pakiet listów związanych niebieską wstążeczką. Nie zaglądając do nich, zaniósła do kuchni i wrzuciła w ogień.

To spalanie listów uważała nietylko za ofiarę ze swej srtony, ale niemal za bohaterskie poświęcenie się dla męża. Listy te bowiem były dla niej takie śliczne, takie czułe, że z rozkoszą odczytywała je w samotności, dumna i szczęśliwa, że jest tak wielbiona i kochana. Ta ofiara poniesiona dla męża uspokoiła ją o tyle, że uważała siebie bez winy i skazy, i już śmiało patrzyła na swój wyjazd do Grotowa.

Ostatecznie, gdyby jej zbyt długo nie było z powrotem, upomni się o nią matka; upomni się ciotka i wuj, który ma powagę, jako urzędnik przy kolei w Tarnowie. Zresztą jest Natalcia, a Bachmacki napewno ją wykradł z więzienia i uprowadził.

To byłoby nawet pięknie, poczuła gorące dreszcze, gdyby on ją uwolnił.

W ciemną, w bardzo ciemną noc, on zbliża się do jej więzienia... pies zaczyna ujadąć, on zabija psa... budzi się stróż, ale Bachmacki nie zabija go, to przecież kryminal... rzuca się jednak na stróża, powala go na ziemię... Nie! Stróż narobiłby krzyku, już lepiej niech przekupi stróża, albo spoi wódką... Otwiera drzwi jej więzienia, pada przed nią na kolana, wyznaje miłość... wtem stróż się budzi... oni uciekają do lasu... Albo nie do lasu, tam może być mokro, błoto, zniszczy się suknią... już lepiej, ażeby powóz czekał. Siadają oboje, jadą na kolej, on kupuje bilety pierwszej klasy i w świat... do Wiednia!

Ach, co za rozkosz!... Dopiero mąż szuka, gniewa się, wścieka się, ale cóż to ją obchodzi?

Ach jakieby to było cudowne, to uprowadzenie jej z więzienia... ale jaką miałaby suknię? Najstosowniejsza byłaby czarna, tylko ta jej wyprawna ma krój nie tak modny, właściwie powinna sobie sprawić czarną suknię, taką jak ma Natalcia.

Ciekawa rzecz, czy Natalcia pojedzie i gdzie? Wprawdzie Szabelski wie, że dla Irenusi potrzebny jest wyjazd, ale może się rozmyśleć. A może i Natalcia pojedzie do Grotowa? Trzeba spytać się o to męża.

A właśnie w tej chwili Winecki ziewnął głośno i przeciągle, a potem spytał:

— Która tam godzina?

— Już po siódmej, — podeszła do sypialni.

— Dlaczego mnie nie zbudziłaś?

— Nie żądałeś tego.

— Ale wiesz, że zawsze o tej porze jem kolację i idę na piwo, — ubierał się pospiesznie.

— Masz czas, dopiero dziesięć minut po siódmej.

— A, to co innego... Co masz na kolację?

— Jest trochę pieczeni z obiadu, chleb, masło, herbata...

— Daj herbaty z cytryną, mam niesmak w ustach, a sama zjedz pieczeń, jakoś nie mam apetytu.

Zasiadł do herbaty ubrany, gotowy do wyjścia, a ona spytała słodko:

— Proszę cię, Jasiu, a gdyby Natalcia spytała, dokąd jadę, czy mogę jej powiedzieć?

— Ty? Albo ty wiesz, dokąd? — zdziwił się szczerze.

— Sam mi powiedziałeś, że do Grotowa.

— Ja powiedziałem? Kiedy?

— Dziś, przy obiedzie, i dałam ci słowo, że nikomu nie powiem.

— A, tak, tak... przypominam sobie. Pamiętaj, Romciu, że dałaś słowo.

— Wiem i dotrzymam, ale poco ta tajemnica?

(Ciąg dalszy nastąpi).